

Trzeba żyć chwilą i robić, co do nas należy

6 marca obchodzimy Europejski Dzień Pamięci o Sprawiedliwych, ustanowiony przez Parlament Europejski w 2012 roku z inicjatywy Komitetu Światowego Ogrodu Sprawiedliwych (GARIWO). Z tej okazji rozmawiamy z Anną Stupnicką-Bando – prezes Polskiego Towarzystwa Sprawiedliwych wśród Narodów Świata – która należy do Komitetu Ogrodu Sprawiedliwych.

Anna Stupnicka-Bando i jej matka zostały 19 września 1984 r. uhonorowane przez Instytut Yad Vashem w Jerozolimie tytułem Sprawiedliwych wśród Narodów Świata. W czasie okupacji ukrywały wyprowadzoną z getta dziewczynkę Lilianę Alter – córkę działacza Bundu Hilarego Altera, chłopca Ryszarda Grynberga i Mikołaja Borensteina. Po wybuchu powstania warszawskiego Anna Stupnicka, jako piętnastolatka, była sanitariuszką Obwodu II „Żywiciel” Armii Krajowej. Po wojnie pracowała jako lekarz neurolog.



Jak ważne jest w dzisiejszym świecie nagradzanie ludzi za sprzeciw wobec ludobójstw, za pomoc ofiarom wojny i czystek etnicznych, za obronę wolności w reżimach totalitarnych? Właśnie takie postawy zauważa i odnotowuje Komitet Światowego Ogrodu Sprawiedliwych...

Dzisiejszy dzień jest bardzo ważny, ponieważ nie można zapominać o ludziach, którzy robią coś dla innych, poświęcają się, występują przeciw reżimom i wszelkich działaniom mającym na celu zniszczenie dobra. Ten dzień powinien być świętowany na całym świecie, by wszyscy pamiętali, że musi zwyciężać dobro. Nie oszustwa, nie kłamstwa, a przede wszystkim dobro. Nie każdy w nie

wierzy, dlatego musimy za wszelką cenę podtrzymywać wiarę w nie. Ludzie, którzy przeżyli wojnę wiedzieli, co to znaczy poświęcać się dla kogoś, czy czegoś. Dzisiejsi Sprawiedliwi poświęcają się w imię jakiejś idei, by walczyć ze złem w różnej postaci.

Razem z Pani mamą, Janiną Stupnicką, uratowały Panie w czasie okupacji troje Polaków żydowskiego pochodzenia. Czy Pani mama – tak jak Pani to pamięta – wahała się choć chwilę przed wyprowadzeniem Liliany Alter z getta warszawskiego?

Nie, nie wahała się ani przez chwilę. Była szalenie odważną kobietą, przez całe swoje życie. Nikogo nie słuchała, także swojej rodziny – sióstr i braci – która sprzeciwiała się, kiedy mama zabierała mnie do getta warszawskiego, żebym w swojej szkolnej teczce zanosila tam bochenek chleba i trochę buraczanej marmolady. Mama nie zwracała uwagi na to, co mówili i uważała, że kawałek chleba może – jeśli nie uratować, to może trochę przedłużyć życie w strasznych warunkach getta. Upatrzyła sobie bardzo biedną rodzinę w getcie, z siedmiorgiem dzieci, żyjącą w strasznej nędzy.

Czy Pani mama znała ją przed wojną? A może poznała ją już w getcie, gdzie chodziła z księgami meldunkowymi?

Nie, nie znała ich wcześniej. Być może nazywali się Śledzie, ale nie jestem pewna. To rzadkie nazwisko utkwilo mi w głowie. Nie wiem, co stało się z nimi później.

Czy Pani mama znała ojca Liliany, Hilarego Altera, przed wojną?

Nie, nie znali się. Nie wiem, jak się spotkali w getcie. Hilary Alter był bardzo dzielny człowiekiem. Lilkę umieścił u nas, a swoją żonę gdzieś pod Warszawą. Sam był niebieskookim blondynem o bardzo słowiańskim typie urody. Miał załatwione takie dokumenty, że mógł iść do partyzantki, do AL-u – miał w lesie jakiegoś kuzyna. Ale nie chciał. Był związany z Bundem i uważał, że może być potrzebny w getcie. Moja mama nie znała przed wojną ani Alterów ani Grynbergów, ani doktora Borensteina, który mieszkał w Łodzi. Nigdy tego nie podawałam, ale przychodziła do nas jeszcze

codziennie Madame, Żydówka. Uczyła francuskiego, niemieckiego i gry na fortepianie. Bardzo miła i kulturalna pani, z domu Korał, wyszła za mąż za Polaka, Barlińskiego. Jej wnuczek, Krzyś, skończył medycynę, ale nie wiem, czy został w Polsce. Pani Janina – która też nie miała rysów semickich – uczyła mnie trochę niemieckiego, a z mamą rozmawiała po francusku. Przychodziła codziennie odgrzać sobie u nas, na Mickiewicza 25 na Żoliborzu, kolację. Dostawała jedzenie od Rady Głównej Opiekuńczej i przychodziła z nim do nas. Do dziś pamiętam zapach, jak pani Janina je nazywała – „kroketów”. W czasie powstania chorowała na tyfus. Mieszkała na Słowackiego, albo na Marymonckiej. Po powstaniu zupełnie straciłyśmy kontakt.

Jest Pani zaangażowana w sprawy kombatanckie w kole „Wawer”, spotyka się Pani z młodzieżą – co młodzi ludzie myślą o trudnych wyborach czasu wojny, kiedy Pani z nimi rozmawia?

Dziś młodzież jest przyzwyczajona do oglądania makabrycznych scen w filmach. Słuchają mnie nastolatki, dziewczyny się trochę wzruszają. Ale muszę powiedzieć, że przede wszystkim jest zainteresowana moimi opowieściami młodzież żydowska. Spotykam się z tysiącami młodych Izraelczyków. Jedna grupa liczy sobie nawet czterysta osób. Oni są zawsze zasłuchani. Kiedy opowiadam im o ratowaniu Żydów, chłopcy płaczą i obejmują się. Dwa razy większe ode mnie chłopaki ściskają mnie i łzy im spływają po policzkach. Reagują o wiele bardziej emocjonalnie, niż nasza młodzież. Muszę przy tym wspomnieć, że bardzo mnie irytuje, kiedy ludzie, którzy w ogóle nie znają wojny, nie przeżyli jej, mówią, jak należało, a jak nie należało wówczas postępować. Oni nie mają pojęcia, przed jakimi wyborami stali wtedy ludzie. Przecież wychodząc z domu nikt nie wiedział, czy do niego wieczorem wróci. To mnie nauczyło, że w życiu niczego nie można być pewnym. Dlatego trzeba żyć chwilą i robić, co do nas należy.

Rozmawiała Anna Kilian

Data publikacji: 2019-03-05

Data wydruku: 2021-03-22 23:43

Źródło: <https://mgw.mobilems.pl/aktualnosci/trzeba-zyc-chwila-i-robic-co-do-nas-nalezy/>